WIEM WSZYSTKO

50 GR

TYGODNIK AKTUALNOŚCI POD REDAKCJĄ WŁODZIMIERZA POPŁAWSKIEGO

Nr 3. Warszawa, Niedziela 9 lutego 1936 r. Rok I.

BEZDROŻA NASZEJ PROPAGANDY

Dużo „poetów", mało dziennikarzy

Sprawa propagandy Polski wśród obcych, od lat nieschodzi z łamów prasy. Od lat, z anielską cierpliwością ludzie dobrej woli wytykają wszystkie gaffy, skandaliczne przeoczenia i denerwujące lenistwo czynników powołanych do propagowania naszych, skromnych zresztą walorów na forum międzynarodowem.

Człowiek, który kiedykolwiek wyjrzał poza granice Rzeczypospolitej, bez trudu może stwierdzić, że niema bodajże w Europie państwa, **któreby nie dystansowało Republiki Polskiej** w ożywionym wyścigu propagandowym, o niezliczoną ilość długości.

Niemamy tu na myśli państw tak silnie związanych z problemem propagandy jak np. Sowiety, Niemcy czy faszystowska Italja, eliminujemy z pełną świadomością takich „propagandowych speców" jak Szwajcarja bądź Francja, ale przecież maleńka Czechosłowacja, miniaturowa ojczyzna najmłodszego ministra spraw zagranicznych Europy — p. Łozorajtisa — Litwa, bukiet państw bałkańskich, bez najmniejszego wysiłku dystansują 33-miljonową, „mocarstwową" Polskę.

*

Pomińmy propagandę stosowaną, propagandę turystyczną, którą nazewnątrz, mimo najkapitalniejszych plakatów Norblina czy in. tak długo pozostanie bezskuteczna, jak długo sprawy turystyki nie uporządkuje się wewnątrz kraju. Przejdźmy nad tem do porządku dziennego, zatrzymując się natomiast przed znacznie istotniejszem dla Rzeczypospolitej zagadnieniem — **propagandy polskiego autorytetu**, propagandy tej mocarstwowości, o której tak wiele i tak chętnie pisze przy każdej okazji nasza prasa „błagonadiożna".

Tu otwierają się przed nami dziwy zgoła niezwykłe. Okazuje się, że najmarniej, najniżej notowana jest Polska w siostrzanej i sojuszniczej Republice Francuskiej, aczkolwiek zdawaćby się mogło, że gdzie jak gdzie, ale właśnie tam mogliśmy wygrać największą ilość atutów...

Aby to jednak nastąpiło, trzeba było mieć w Paryżu odpowiednich ludzi. Ludzi z otwartemi głowami, ludzi chętnych do pracy, a przedewszystkiem — fachowców. Tymczasem...

*

Przed kilkunastu laty, doskonale wówczas zapowiadający się młody poeta Leszek Serafinowicz lub jeśli kto woli Jan Lechoń napisał kilka tęgich wierszy. Snobizujący Mortkowicz wydał mu te wiersze w ozdobnych tomikach i... **na tem skończyła się poetycka karjera Jana Lechonia.** Zaczęło się natomiast przyjemne zajęcie obcinania kuponów od tych poezyj, które, istotnie, dla wielu z nas były bardzo piękne i bardzo wzruszające.

*

Z dużej miary poety, kreowano Lechonia na... szefa propagandy polskiej w Paryżu. Spędził on w stolicy nadsekwańskiej wiele lat, regularnie inkasując 1,500 zł. miesięcznej gaży, co stanowi śmiesznie nikłą sumkę jeśli idzie o dobrego szefa propagandy, a mnóstwo pieniędzy wyrzuconych w błoto, jeśli idzie o... Lechonia.

Doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, że miał Lechoń wyjątkowo wiele trudności, raz za razem musiał potykać się o najróżniejsze głazy i wykroty naszej polityki zagranicznej, a także absurdy życia wewnętrznego, jednakże równie dobrze wiemy, **że wszystkie te przeszkody z łatwością wyminąłby** człowiek fachowy, należycie przygotowany i pracowity.

*

Po latach „działalności propagandowej" Lechonia, jeśli wogóle można mówić o efektywnych rezultatach, to conajwyżej — opłakanych **Polaków we Francji szkaluje się tak jak chyba żadną inną nację,** a stosunek prasy francuskiej do nas zbyt dobrze jest znany, aby jeszcze raz poruszać tę smutną i ze wszech miar drażliwą sprawę.

*

Kiedy, tu na miejscu przyglądamy się, jak szefowie biur prasowych poszczególnych poselstw akredytowanych przy rządzie polskim zabiegają to o zorganizowanie swym rodakom przybyłym do Warszawy występów w Operze, koncertów czy odczytów, to znów urządzają wystawy czy pokazy sztuki danego kraju, robi nam się smutno, że niemógł dotychczas w paryskiej operze komicznej zaśpiewać np. Czaplicki, że gdyby nie prywatna inicjatywa, balet Parnela prawdopodobnie po dziś dzień występowałby co najwyżej w... „Hollywood", że niezrobiono nic, ale to dosłownie nic aby jednak przekonać Francuzów, że jest różnica między Polską i... Albanją.

*

Być może, że poezje, które Lechoń stworzył, wstarczają aby krewować go na... benjaminka społeczeństwa a la Gabrjel d'Anunzio, ale powierzenie młodemu poecie tak niezwykle odpowiedzialnego stanowiska, to był pomysł równie kiepski, jak kosztowny. Lepiej i taniej byłoby kilkanaście lat temu zbudować Lechoniowi... zamek na Bielanach, aby tam, w niezmąconej ciszy i bezpośredniem sąsiedztwie absolwentów CIF'u, upajając się tanecznemi poezjami Lifara i książkami podróżniczemi Janty mógł tworzyć, **ku chwale Rzeczypospolitej równie piękne poematy, jak te sprzed lat.**

*

Nie chodzi tu oczywiście personalnie o p. Lechonia, ani też o te 18,000 zł. rocznie, obciążające bezużytecznie nasz budżet. Sprawa jest o wiele poważniejsza.

Mamy dość kosztowną propagandę i — nazywa się, że coś robimy. A tymczasem w tej samej Francji, w której mimo wszystko posiadamy i sympatje i przyjaciół, nazwa „polonais" **coraz mocniej utrwala** się jako **synonim — bandyty.**

Zaczęło się od tego, że kilka lat temu, na terenie emigracji polskiej we Francji zdarzyły się kilkakrotnie napady bandyckie. Prasa rozpisywała się o śmiałych „Bandits polonais". Później etykietę tę przylepiano do wszystkich występów obywateli ze wschodniej Europy. Doszło do tego, **że rządowe radjo francuskie Paris P. T. T.,** przed trzema tygodnia puściło taki dowcip:

Przyjaciółka mówi do przyjaciółki:

— **Doprawdy, mam strasznego pecha. Wczoraj poznałam księcia rosyjskiego, a dziś dowiedziałam się, że to niestety tylko Polak...**

„Dowcip" ten polegający na grze słów, miał wielkie powodzenie w Paryżu.

Jeśli z takich wypadków robi się zarzut naszej propagandzie, słyszymy zawsze jednakową odpowiedź: „Przecież niemożemy o wszystkiem wiedzieć". Ale tym właśnie komentarzem nasi „propagandziści od siedmiu boleści" **wydają sobie świadectwo kompletnej ignorancji.**

*

Boć uderzmy się w piersi... praca propagandowa podobna jest przedewszystkiem do pracy dziennikarskiej. Trzeba o wszystkiem wiedzieć, wszędzie mieć swoich ludzi i dobre stosunki. Pracy propagandowej nie wyczerpuje wydawanie pieniędzy na popieranie... sympatycznych osób, ani nawet drukowanie elukubracji na kredowym papierze, czy też słone opłacanie dzienników za przedrukowanie jakiegoś artykułu, choćby nawet — co się rzadko zdarza — dobrze napisanego.

Tego jednak nierozumieją nasi szefowie propagandy, którzy przeważnie zawdzięczają swoje stanowiska temu, że... nienadają się do żadnej odpowiedzialnej roboty. Gdyby to rozumieli i potrafili nadać kierunek naszej propagandzie, może i Jan Lechoń, człowiek o wybitnych zdolnościach, nauczyłby się pracować pożytecznie w tym zakresie.

W każdym razie nie zdarzałyby się takie wypadki, które choć drobne, są bardzo charakterystyczne.

*

W Berlinie wyświetlają w tej chwili film z Polą Negri p. t. „Mazurka". O filmie tym mówiło się na kilka miesięcy przed jego ukończeniem i **powszechnie uważano go za ukłon dla Polski ze strony niemieckiego przemysłu filmowego** (ukłon nota bene niezupełnie bezinteresowny), zwłaszcza, że część scen była nagrywana w Warszawie.

Tymczasem co się okazuje?

Mamy autentyczne zdjęcia z gmachu opery warszawskiej, nawet z polskim napisem: „Palenie wzbronione", mamy hucznie na scenie tańczonego prawdziwego mazura w krakowskich strojach, ale zato w Warszawie niema innych ludzi **tylko Rosjanie,** przeważnie w mundurach, a imiona bohaterów pochodzą wprost z... nad Wołgi. Więc: Ksenia, Natasza, Fiodor, Iwan i t. d. Podobnie zresztą, jak w innym filmie, tym razem austrjackim, gdzie bohaterka polskiego powstania — Polka, nazywa się hr. Demidow...

*

Nie potrafiliśmy nawet wykorzystać dobrej woli Niemców, którzy w dalszym ciągu będą mieszać Polskę z Rosją. **A nasi panowie z propagandy tłumaczą się, że zawierzyli... inteligencji Poli Negri.** Znaleźli się w korcu maku.

*

Drugi wypadek. Również w Berlinie i również z ostatnich czasów.

Wychodzi w stolicy Rzeszy corocznie ilustrowany „Jahrbuch B. Z." o miljonowym nakładzie. Zawiera on oryginalne ilustracje, dotyczące najważniejszych wypadków w ubiegłym roku.

W ostatnim roczniku za rok 1935 **niema zupełnie... podobizny Marszałka Piłsudskiego.** O jakiejś niechęci ze strony Niemców, zwłaszcza w obecnej konjunkturze, niema mowy. Dali zdjęcia z pogrzebu z nader serdecznym tekstem, a nawet szereg fotografij naszych, zresztą bardzo zacnych i bardzo zasłużonych mężów stanu, oraz ich czcigodnych małżonek. Ale fotografji Wielkiego Polaka, który zaważył na losach całej Europy, dziecko niemieckie nie zobaczy.

Niepomawiamy bynajmniej naszej propagandy o złą wolę. Wiemy, że chętnie daliby setki takich fotografij, zwłaszcza, że można je dostać w Polsce bez trudu, tylko... niewiedzieli o tem wydawnictwie, biedacy.

Ale czy niemożna uważać za złą wolę podejmowanie się pracy, o której niema się żadnego pojęcia?

*

Z tą rozpaczliwą ignorancją naszych propagandzistów, odważnie i bezkompromisowo **walczy na łamach swego „Kurjera Porannego" jedynie Wojciech Stpiczyński.** Rasowy dziennikarz, świetnie zorjentowany w olbrzymiej doniosłości propagandy, Stpiczyński niemoże pogodzić się z trwającym od lat fatalnym stanem rzeczy.

Dok. na str. 2-ej

Grzęzawisko motoryzacji Polski

„CZARY” POLSKIEGO FIATA

To cuchnie, panowie!!!

I.

Wśród wielu skandali naszego życia gospodarczego, jedno z czołowych miejsc zajmuje, **zwłaszcza pod względem długotrwałości,** t. zw. skandal motoryzacyjny.

KTO WINIEN?

Jak wygląda ten skandal, każdy dobrze zrozumie, gdy sobie uprzytomni, że Polska pod względem motoryzacji stoi na ostatniem miejscu nietylko w Europie, ale i na całym świecie. Z automobilami jest u nas gorzej, niż w Albanji, Peru czy Mandżurji. Takie państwa jak Rumunja, Grecja czy republika Czuchońska są dla nas niedoścignionym ideałem. Dużo się mówi o tem i pisze, ale nikt jeszcze nie zadał sobie trudu dojścia do przyczyny tego stanu rzeczy.

Kto to wszystko narobił? Kto w tym macza palce i kto w dalszym ciągu robi wszelkie wysiłki, byle tylko Polska nie wyszła z bagna motoryzacyjnego?

Odpowiemy krótko. „Polski Fiat”.

Trzeba nareszcie to jasno i bez obsłonek powiedzieć, gdyż 16 lat istnienia Polskiego Fiata na terenie Polski to jeden wielki łańcuch niszczenia naszej motoryzacji.

NIEWINNY POCZĄTEK

Zaczęło się niewinnie. W r. 1920 powstało towarzystwo „Polski Fiat”, podobnie jak wiele innych, dla sprzedaży samochodów znanej włoskiej marki, oczywiście z myślą, by kiedyś przejść na produkcję krajową. W pierwszych latach sprzedawano przeważnie wozy ciężarowe rządowi polskiemu, później zaczęto trochę napełniać nasz rynek różnymi typami, z których zresztą tylko jeden typ, 501, przyjął się i zyskał uznanie. Nawiasem mówiąc, typ ten Fiat przestał już dawno produkować. Inne wozy nie szły, **mimo że w latach 1927 - 1929 motoryzacja Polski posuwała się szybko naprzód.**

UKŁAD MOTORYZACYJNY

Polski Fiat znalazł się w opałach. Nikt nie chciał kupować włoskich wozów, jako nieodpowiednich dla naszych warunków. Zaczęto tedy z innej beczki. Zaproponowano **rządowi** polskiemu układ zwany szumnie motoryzacyjnym, na podstawie którego Polski Fiat zobowiązał się do uruchomienia w ciągu 2 lat własnej kompletnej fabryki automobili w Polsce. Podobne propozycje składały i inne wielkie fabryki europejskie, które zresztą produkowały wozy o wiele bardziej odpowiednie dla Polski, **jednak czary Polskiego Fiata zwyciężyły,** i układ zawarto z Polskim Fiatem.

POLSKA FIRMA, WŁOSKIE AUTA

Wielką tu rolę odegrał ówczesny dyrektor Państwowych Zakładów Inżynierji, płk. Mayer. Trzeba przyznać, że był to zapalony zwolennik uprzemysłowienia Polski, ale szkody, jakie wyrządził naszej motoryzacji, nie dadzą się prędko powetować.

Zaczęto niedołężnie kręcić „fabrykę”. Rozgłaszano na wszystkie strony, że lada tydzień, lada miesiąc będziemy mieli własną produkcję samochodową, a społeczeństwo i rząd cierpliwie czekali. Tymczasem wciąż coś stawało na przeszkodzie i polskich wozów jak nie było tak nie było. **Przychodziły natomiast gotowe automobile z Turynu,** różnych typów, ale tak nieodpowiednich, że nikt ich nie chciał kupować. I tu zaczyna się skandal, trwający do dziś dnia.

DEMOTORYZACJA.

Pod pozorem ochrony przemysłu polskiego, którego nie było, wymuszono na rządzie polskim niesłychane utrudnienia przywozu, przez zwiększenie wielokrotnie stawek celnych i **tecienie wszelkich automobil:,** pochodzących z innych fabryk niż Fiat, przez olbrzymie opłaty drogowe. Skutek był natychmiastowy. Motoryzacja Polski momentalnie wzięła w łeb. Nikt wozów nie kupował, a ci, co mieli, szybko się ich pozbywali. **Polska została zdemotoryzowana.**

Panowie z Polskiego Fiata mieli plan chytry, ale i tego planu nie potrafili uczciwie po kupiecku przeprowadzić.

KOKOSOWE INTERESY

Z jednej strony łudzili wciąż rząd, że lada chwila puszczą w ruch fabrykę w Warszawie, z drugiej strony **sprowadzali bez cła gotowe wozy z Włoch.** Wedle umowy bowiem mogli to robić „tymczasem”. I ostatecznie mimo, że ówczesne Fiaty zupełnie nie nadawały się do użytku polskiego, publiczność z konieczności musiała kupować te włoskie wozy, gdyby nie to, że machjawelowie z Polskiego Fiata chcieli upiec i drugą pieczeń. Sprowadzając wozy bez cła, **brali zań w Polsce cenę jakby wóz był oclony wysoką stawką. Dlatego też wóz, kosztujący we Włoszech około 5.000 zł., sprzedawano tutaj za 10.000 zł.**

„STAROŚCIŃSKIE” FIATY

Oczywiście nikt nie chciał kupować wozu złego i drogiego. Zastosowano przymus. Nie pozwalano kupować innych wozów tylko Fiaty, które koniec końcem otrzymały miano starościńskich.

Chytry plan nie udał się, a równocześnie Polskę ostatecznie zdemotoryzowano. Poprostu nie chce się wierzyć, żeby kilku ludzi przez sześć lat mogło kręcić w ten sposób całą Rzeczypospolitą. Możnaby tu dodać wiele przykładów nieprawdopodobnego czarowania przez Polski Fiat.

NAJPRZÓD DROGI...

Podamy tylko jeden z ostatnich, a mianowicie założenie Ligi Drogowej. Gdy społeczeństwo zaczęło wołać, że zostaniemy zupełnie bez samochodów, znaleźli się tacy, co tłumaczyli, że wozów nam jeszcze nie potrzeba, gdyż nie mamy dróg, by po nich jeździć. Budujmy więc drogi, a tymczasem Polski Fiat zdąży wybudować swoją fabryczkę. Takie było początkowe ukryte hasło Ligi Drogowej. Dodajemy tu lojalnie, że na szczęście dziś to hasło zostało usunięte.

„SZARA EMINENCJA“

W końcu wszystkim już tego było za wiele. Nietylko rząd polski, ale i Włosi przekonali się, że zostali wprowadzeni w błąd, a niedołęstwo, prowadzących akcję ludzi, grozi katastrofą. Z Państwowych Zakładów Inżynierji usunięto płk. Mayera, zmieniono dyrekcję w Polskim Fiacie, biorąc ludzi fachowych. **Pozostał tylko na swojem stanowisku dyrektor Kandel, szara eminencja w procesie demotoryzacji Polski.**

Nowi ludzie potrafili wkońcu czegoś dokonać. Ujrzeliśmy wreszcie rzekomo polski wóz, popularną dziś 508-kę, ze wzmocnionym podwoziem, solidnie wykonaną i stał się cud. Mimo, że zniesiono wszelkie zakazy i przymusy, mimo że równocześnie otwarto granice polskie dla konkurencyjnych samochodów angielskich, cała produkcja Polskiego Fiata została momentalnie rozkupioną przez publiczność, na jakich warunkach... o tem — potem.

PRZYKŁAD NIESKUTKUJE

Zdawało się, że to wszystko powinno już było nauczyć i nasze czynniki rządowe i panów Karszo - Siedlewskich, Soriów, Pechdonaldjów, Brunów, Marchlewskich, Friedbergów i Schmidtów. Niestety.

Powodzenie znów uderzyło do głowy. Zamiast spokojnie pracować i nie obawiać się konkurencji zagranicznej, **ktoś znowu zaczyna coś kręcić.** Chodzi nam o kwestję t. zw. montowni. Rok temu słyszeliśmy oficjalne zapowie- **znowu zaczyna coś kręcić.** Chodzi nam o kwestję t. zw. montowni. Rok temu słyszeliśmy oficjalne zapowiedzi o dziesiątkach tysięcy nowych wozów w Polsce przy pomocy ułatwień dla zagranicznych montowni samochodowych. Przeszło od roku wciąż się o tem mówi i pisze, wciąż dowiadujemy się o jakichś konferencjach i pertraktacjach, a tymczasem publiczność czeka. Możeby niejeden i kupił wóz angielski, czy też Polskiego Fiata, ale czeka co będzie z tymi wozami montowanemi w Polsce. Czeka publiczność, czekają i kupcy samochodowi, których coraz mniej na naszym rynku, **gdyż nikt nie chce już pracować w branży z nieprawdopodobnego zdarzenia.**

I ZNÓW NIC!

Nie poruszamy w tej chwili sprawy montowni, o której by nam wiele mógł powiedzieć wspomniany już przez nas dyrektor Kandel. Sprawa ta jest jasna i przez najlepszych naszych fachowców wyświetlona. Podobno była już ona sfinalizowana, gdy oto, jak grom z jasnego nieba padła wiadomość o nowej kombinacji Polskiego Fiata, o jakiejś obietnicy rozszerzenia produkcji w roku 1937 (byle tylko odłożyć) o czem pisaliśmy już w pierwszym numerze naszego pisma.

Nam chodzi wyłącznie o jedno: publiczność już jest tak zmęczona zapowiedziami i naradami na temat motoryzacji, że jest jej wszystko jedno, jak będzie. Społeczeństwo zgodzi się na wszystko, byle tylko coś raz u djabła było postanowione solennem i gwarantowanem zapewnieniem, że znowu jakiś nowy, dziki pomysł nie wyskoczy za parę tygodni, **ale aby to nastąpiło trzeba dużo zmienić za kulisami „Polskiego Fiata“, dokąd zaprowadzimy Cię, Czytelniku.**

Alfa.

Dok. ze str. 1-ej

My ze swej strony, jak zwykle — dalecy od frazeologji, pytamy: **ilu dziennikarzy z prawdziwego zdarzenia, ludzi, którzyby mogli wykazać się chociażby 5 - letnią, efektywną pracą dziennikarską pracuje w naszej propagandzie, czy to w Centrali, czy na placówkach?**

Czy nie słuszniej byłoby zamiast wysyłać zagranicę niedoważonych młokosów lub najtęższych chociażby poetów, te tak bardzo odpowiedzialne i ważkie dla Rzeczypospolitej stanowiska obsadzać dziennikarzami? Tacy ludzie: **jak Grostern, Czarnocki, Wrzos,** honorowani chociażby trzykrotnie wyżej niż np. Lechoń, zdziałaliby dla autorytetu Republiki tysiąckroć więcej, bo oni znają tę robotę i potrafią pracować!!

W jednem ze swych ostatnich przemówień w Sejmie, sternik naszej nawy zagranicznej p. Min. Beck powiedział m. in., że nie lubi słowa „propaganda”, Jego podwładni muszą do tej propagandy pałać jeszcze większą awersją.

Wł. Popławski.

Kto za to płaci?

Przy ul. Matejki stoi niewielki, jednopiętrowy pałacyk, na oko niczem specjalnem nie wyróżniający się od dziesiątków innych pałaców, pałacyków i will, rozrzuconych po obu stronach Alej Ujazdowskich.

Jest natomiast coś, co go radykalnie odcina i odseparowuje od wszelkich jego braci i sióstr w tej dzielnicy

To coś, to — cena. Oczywiście — wynajmu.

Cena ta jest tak horrendalnie, nieprawdopodobnie wysoka, że przedstawicielstwo (torgpredstwo) Z.S.R R. nie było w stanie jej opłacać. Więcej: za o wiele niższy czynsz Sowiety wynajęły *cały, nowoczesny, ogromny, dwupiętrowy dom, w tejże dzielnicy, przy tychże Alejach Ujazdowskich* (ściśle: na ul. Koszykowej — drugi dom od Alej).

Zdawałoby się, że pałacyk będzie stał pustką.

Otóż nie. Nie zdążono nawet zamieść pokojów, po wyniesieniu mebli torgpredstwa, gdy już zainstalowali się w nich nowi lokatorzy.

Pewnie jacyś baronowie węglowi, prezesi śląskich koncernów, lub nafciarze z Borysławia? Nie, nie i nie! Poprostu stołeczny czy wojewódzki Komitet BBWR. Nie dziwi to was? Macie rację, mnie też nie.

„O BB, partjo moja — ty jesteś jak zdrowie!!“ jak mówił wieszcz Zdrowie to — siły, a siły — c‘st la force. No tak.

Ale nie chodzi o to, kto za to *płacił,* bo, wiadomo — Grecja, ale kto za to *płaci?* Bowiem mimo tego, że BBWR oficjalnie przestało istnieć, i opuścić zajmowane lokale — w pałacyku przy ul. Matejki dalej urzęduje i funkcjonuje sztab rozwiązanej bezpartyjnej partji i wsystko tam ostało po staremu, z wyjątkiem tej jednej nowej kwestji: *Kto teraz płaci za ów lokal, od którego tańszy jest nawet nowoczesny dwupiętrowy gmach w tejże dzielnicy?*

PIST — wylęgarnia bęcwałów

Dużo zarozumiałości, mało talentu

Na jakiemś przedstawieniu w Teatrze Narodowym, przedstawieniu nota bene wyjątkowo udałem, gdy ze sceny, z ust co największych tuzów polskiej sztuki teatralnej padały sugestywne słowa, siedząca za mną grupka młodych mężczyzn i kobiet co i raz robiła złośliwe uwagi na temat gry aktorów, chichocąc przytem równie denerwująco jak niegrzecznie.

P.I.S.T. I JEGO ADEPCI

Znajomy, człowiek teatru, uświadomił mnie, że to — adepci PIST'u, co w oryginale nazywa się pięknie i przekonywająco: Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej.

Więc dawna Szkoła Dramatyczna, lub jeszcze dawniejsza Szkoła Aplikacyjna... Nie, porównanie nie jest słuszne. Bo jeśli ze Szkoły Aplikacyjnej na deski Sceny Polskiej weszły wielkie talenty i weszło ich dużo, jeśli niemi nieco, ale równie bardzo utalentowanych aktorów dała skromna Szkoła Dramatyczna, o tyle owoce PIST'u są cherlawe, naogół gorzkie i chociaż przesycone różnemi wymyślnemi szczepionkami, to przecież teatralnie przedstawiają się wręcz kiepsko.

Nie mamy zamiaru generalizować i twierdzić, że z murów PISTu nie wybiegł w świat ani jeden talent, ani jeden artysta czy artystka naprawdę wartościowi, nie, tak mówić niewolno.

WYCHOWANIE AKTORA

Treba natomiast powiedzieć o tem, o czem milczy się wstydliwie i co stara się zbagatelizować — o wychowania adeptów PISTu.

Nikomu nie trzeba tłumaczyć, że w mury tej instytucji wchodzi materjał równie surowy, jak miało to Aplikacyjnej czy Dramatycznej. I tam i tu przychodzą ludzie nieprzygotowani, natomiast czujący w sobie, słusznie lub niesłusznie, ten największy dar Boży, iskrę talentu. Tylko że, gdy dawniej jakoś inaczej potrafiono tę iskrę rozdmuchiwać, w szczery, nieraz wielki płomień zamieniać, teraz metody wychowawcze PISTu, robią z absolwentów tej uczelni standaryzowanych... genjuszów, wielkie talenty, które nie opuściwszy jeszcze murów Instytutu już domagają się czołowych ról, już zbierają nieistniejące wawrzyny scenicznych sukcesów, już dystansują o setki długości Jaraczów, Solskich, Stępowskich, Węgrzynów, Chmielewskich, Ćwiklińskie, Modzelewskie, Zimińskie, już są u szczytu scenicznej karjery!

ZŁOIĆ SKÓRĘ, PANU BRATU

Wiemy, młodość ma swoje zalety, ale ma i wady. Te wady to przeświadczenie o własnych walorach, o tem, że... „ode mnie świat zaczyna się!". Ale, w PISTcie wszystko to przyjęło już nietylko karykaturalne oblicze, już nietylko trzeba uśmiechać się dobrotliwie z tej młodzieńczej fanfaronady, ale trzeba raczej sięgnąć po rzemień i złoić skórę, ale nie tym smarkaczom, a chyba raczej ich... wychowawcom, którzy nietylko, że nie robią nic, aby ostudzić zarozumiałość młodych, ale potęgują ją jeszcze bardziej, licho nadają się nawet do... ogonów, że Rezultat?

ARTYŚCI Z... NIEPRAWDZIWEGO ZDARZENIA

„Genjuszek" który narodził się na popisie, chołubiony i pielęgnowany przez wychowawców wyfruwa w świat. Jeśli jest kobietą stosunkowo szybko otrzymuje rolę i... tu dopiero okazuje się, że np. urocza Lidja Wysocka, miła panienka o sposobie bycia gwiazdy wymiaru przynajmniej Sary Bernhard, czy równie sympatyczna p. Andryczówna z trudem [illegible] się nawet do... ogonów, że scena jest dla nich lodową taflą, że nietylko dykcja szwankuje, ale nawet, Boże mój, akcent ocieka nadmierną „śpiewnością", że wogóle jeszcze daleko, daleko do miana artystki z prawdziwego zdarzenia.

Oczywiście można wiele zrobić reklamą. Wielkie fotosy i usłużne wzmianki olśnionych „redaktorów", to bardzo dużo, ale niesposób niemi skrócić drogę między... krowietą a gwiazdą!

FABRYKA „GENJUSZKÓW"

Wymieniając dwa powyższe nazwiska, niemieliśmy bynajmniej zamiaru do tych właśnie młodziutkich artystek sprowadzać tak istotnego zagadnienia, jak smętna wylęgarnia „genjuszków" w PISTcie. Przykre to, ale szacowna instytucja sterowana przez artystę wielkiej miary p. Aleksandra Zelwerowicza, „genjuszków" tego typu wypuściła w świat znacznie więcej.

ANDRZEJEWSKA

Z obrażonemi minami zdetronizowanych książątek wałęsają się po wszystkich scenach Rzeczypospolitej. Są zmorą wszystkich reżyserów, a tragedję dyrektorów teatrów i dziennikarzy. Stale pokrzywdzeni, podenerwowani rzekomym brakie sprawiedliwości negują wszystkie wartości, wszystkie talenty. W głowiznach mniej lub więcej starannie wymoszczonych „wiedzą" zdobytą w PISTcie, niema miejsca na nic innego. Tego ich głowy nie pojmą, że najuczensze formuły wykładowców Instytutu niezastąpią szczerego, 100% talentu z jakim raczej wślizgnęła się, niż weszła dumnym krokiem prawie każdej absolwentki PISTu na deski przzawdziwego teatru — Jadzia Andrzejewska.

Nie reklamowana zgóry, nie popierana przez „wpływowych przyjaciół", nie zaopatrzona w żelazny list PISTu, ta młoda dziewczyna daleka od wykwintu luksusowych pań absolwentek, jednem słowem, jednym ruchem prawdziwej artystki z Bożej łaski zdobywa sobie serca widowni.

PROWINCJONALNA SZMIRA

Patrząc na nią, bystry obserwator bez trudu zobaczy różnicę, uświadomi sobie wszystkie defekty młodego pokolenia aktorskiego, tych „wysoce utalentowanych" absolwentów i absolwentek Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej, którzy w rzeczywistości, w olbrzymiej większości wypadków nie zasługują nawet na miano aktora z bardzo kiepskiego teatru prowincjonalnego.

Nieznana nam jest dokładnie cyfra jaką Państwo przeznacza na PIST, niezależnie jednak od tego, wartoby ten niewątpliwie pożyteczny Instytut dokładnie przewentylować, a już w każdym razie „wyflitować" zeń opary samouwielbienia i bezkrytycznego przerostu ambicyj.

Im szybciej to nastąpi, tem prędzej obok Jaraczów, Solskich czy Stępowskich zobaczymy ich ewentualnych następców — prawdziwych artystów, których dzisiaj jest tak, niestety, mało na Polskiej Scenie.

Krzysztof Miłosz.

Reflektorem po „Hermesie"

Głos ma Ministerstwo Poczt

Ileż to razy, widząc zziajanego jak chart listonosza który biegał po piętrach kamienicy roznosząc zawartość swej torby, mimowoli zastanawialiśmy się nad tem, czy niema jakiegoś sposobu ulżenia temu człowiekowi, skazanemu na ciężkie roboty — wędrówki po piętrach.

✶

Sposób się znalazł.

W lutym 1928 roku adwokat Józef Halberthal, były wyższy oficer korpusu sądowego armji polskiej otrzymał od ministerstwa poczt i telegrafów koncesję na budowę, instalację i eksploatację skrzynek do listów, które miały być zawieszone w bramie każdego domu. W skrzynkach tych **każdy lokator domu posiadałby swoją skrytkę.**

Koncesja została wydana na 18 lat, przyczem ministerstwo poczt i telegrafów biorąc pod uwagę fakt poważnego odciążenia listonoszów temi właśnie skrzynkami zobowiązało się wypłacać pewną sumę od każdej skrytki w stosunku rocznym.

✶

Jeśli się uwzględni, że koncesja przewidywała zainstalowanie w Warszawie 15 tysięcy skrzynek, a każdy skrzynka zawierać miała około 20 skrytek, już same opłaty ministerjalne wystarczyły całkowicie na to, żeby firma wcale niezgorzej prosperowała, mając kilkaset tysięcy rocznego dochodu, a wydając na inwestycje, już po zamortyzowaniu kosztów budowy samych skrzynek, **dosłownie grosze.**

✶

Wydano koncesję, ministerstwo poczt i telegrafów miało na względzie nieskazitelną przeszłość dr. Halberthla, nie trzeba bowiem dodawać, że posiadanie dostępu do kilkudziesięciu tysięcy korespondencyj prywatnych i nie prywatnych mieszkańców Warszawy, w nieodpowiednich rękach mogłoby stać się bronią bardzo groźną, o nieobliczalnych dla Państwa i jego obywateli konsekwencjach. To też ministerstwo od samego początku kładło nacisk na posiadanie w firmie „Hermes" (tak bowiem przedsiębiorstwo dr. Halberthala zostało zarejestrowane) swego człowieka, **któryby w żadnym razie nie zawiódł pokładanego w nim zaufania.** Tem sie też tłumaczy fakt, iż mimo przyjęcia przez dr. Halberthala, który nie mógł sobie sam dać rady finansowo, wspólników w osobach fabrykanta z Wolbromia p. Westena i fabrykanta z Bielska p. Suchy'ego, ministerstwo, tym razem w czerwcu 1928 roku wydało koncesję już nie na nazwisko dr. Halberthala, ale na spółkę z ograniczoną odpow. „Hermes", **w której jednak dr. Halberthal miał mieć większość, bo 60%,** zaś rola dwuch pozostałych wspólników miała ograniczać się do dostawy skrzynek, których dotychczas zainstalowano w Warszawie 14 tysięcy.

✶

Tymczasem pp. Westen i Suchy, z których pierwszy jest Niemcem, nie kryjącym ongiś wcale swych mało sympatycznych dla Polski uczyć, człowiekiem karanym i odsiadującym przed laty więzienie na Pawiaku, drugi zaś, współwłaściciel fabryki Barthelmus i Suchy w Bielsu, również człowiekiem niezbyt entuzjastycznie nastrojonym do państwa polskiego, zresztą bodajże obywatelem austryjackim, tak umiejetnie pokierowali sprawą, że właściciel 60% udziałów w firmie dr. Halberthal został z tejże firmy, całkowicie „wykwitowany".

Ten genjalny trick udał się dzięki pośrednictwu pocztowo płatnego dyrektora spółki, który został przyjęty za namową pp. Westena i Suchy'ego, **emerytowanego pułkownika S. G. p. Eugenjusza Pieczonki,** obecnie trzeciego, po usunięciu p. Halberthala, wspólnika „Hermesa".

✶

P. Pieczonka były oficer armji austrjackiej, urodzony w Kołomyi, w armji polskiej doszedł do odpowiedzialnego stanowiska szefa biura wywiadowczego II-go Oddziału S. G. Stanowisko to p. Pieczonka zdobył sobie za rządów „Piasta" i zasłynął na nim dość szybko, jako główny bohater sprawy o — inwigilację Marszałka...

Za radą tego właśnie p. Pieczonki, dwaj obcokrajowi właściciele „Hermesa" podwyższyli kapitał zakładowy spółki do takiej wysokości, że dr. Halberthal, nie rozporządzając odpowiednią gotówką, **musiał z firmy przez siebie założonej ustąpić.**

✶

W rezultacie jedynymi właścicielami przedsiębiorstwa które może być z łatwością wykorzystywane do—wrogiej nam propagandy, a jednocześnie doskonale pozwala na zdobywanie wszelkich informacyj z „pierwszej ręki" zostali: Niemiec, przemysłowiec z Wolbromi. Austrjak, przemysłowiec z Bielska, i emerytowany podpułkownik p. Eugenjusz Pieczenka.

Czy ten stan rzeczy nie wymaga **rewizji koncesji ze strony ministerstwa poczt,** już chociażby tylko dla usunięcia pewnych nieformalności wynikłych z przekroczenia warunków umowy?...

✶

A gdyby nawet tych nieformalności nie było, to sam fakt pozostawiania takiego aparatu w rękach obcych obywateli, chociażby jaknajlepiej notowanych, musi budzić poważne zastrzeżenia, nad któremi w żadnym razie nie wolno przechodzić do porządku dziennego.

Chcemy wierzyć, że pp. Westen i Suchy, chociażby ze względu na łączące ich z naszym krajem interesy finansowe, są jaknajlojalniejszymi gośćmi **ale... są tylko gośćmi i conajmniej przesadą jest gościom tym powierzać.. klucze, od biurka w którym chowamy cenne dla nas przedmioty.**

Ten.

ŻYRARDÓW REDIVIVUS!

Ciemne kulisy pozornie jasnej sprawy

Sprawa żyrardowska znów wysuwa się na czoło zagadnień chwili bieżącej. Ostatnie tygodnie przyniosły tak rewelacyjne, wręcz niewiarogodne, informacje z za kulis tej afery, że należy bezwzględnie omówić ją nieco obszerniej, niż to dotychczas miało miejsce.

„HONOR I OJCZYZNA"

Swego czasu, gdy sprawa żyrardowska była na wokandzie sądowej, gdy p.p. Vermersch i Caen siedzieli tam, skąd nie powinno się ich było wypuszczać, czyli w kryminale—powstał, jak wiadomo, projekt powołania sądu arbitrażowego, który miał ustalić wysokość pretensji polskich akcjonarjuszy do Boussac'a i określić cenę wykupu posiadanego przezeń portfelu akcyj.

Wtedy, jeden z dwóch „panów M", żyjących z ogłoszeń komorników w „Gazecie Polskiej" — nie pamiętam tylko w tej chwili, który zapłonął świętem oburzeniem, chwycił za pióra i napisał natchniony manifest do narodu, wołając jak Polska długa i szeroka: „Veto! Nie pozwalam! Honor i Ojczyzna! Ze złodziejami się nie pertraktuje, tylko wsadza się ich do kryminału! Kto się układa z łobuzem — ten stawia się z nim na jednym poziomie!"

Wobec takiego postawienia kwestji arbitrzy polscy, (m. in. ks. Janusz Radziwiłł i b. min. spr. zagr. Zaleski), czemprędzej podziękowali za mandaty i — sprawa potoczyła się dalej normalnym czyli karno - sądowym trybem.

„OSKARŻAM" — B. AMBASADORA FILIPOWICZA

Czas płynął. Mali złodzieje siedzieli w „mamrze", a wielcy — p.p. Vermersch i Caen, za niewielkiemi stosunkowo kaucjami — na słonecznej Rivierze, gdy ówczesny organ b. ambasadora Filipowicza „Nakazy dnia" wystąpił z rewelacyjnemi wiadomościami o tem, że rokowania z Boussac'iem toczą się dalej, ale już **nie w interesie drobnego polskiego akcjonarjusza, a w imię bussinesu kilku grubych ryb z Lewiatana**, którzy to panowie mają zamiar przejąć francuski portfel akcyj za pieniądze pożyczone od rządu i dzięki tej „kombinacyjce" zawarowawszy sobie dominujący wpływ w przedsiębiorstwie—obsadzić lukratywne posadki prezesów i wiceprezesów zarządu.

„Nakazy dnia" wyraźnie z imienia i nazwiska wymieniały jednego z panów „M", jako głównego winowajcę tego stanu rzeczy, zarzucając mu, iż słynnem swem wystąpieniem utrącił możliwość arbitrażu, który jako posiadający moc obowiązującą dla obu stron, był jedyną drogą wyjścia zapewniającą drobnemu polskiemu akcjonarjuszowi powetowanie jego strat.

„Czemu pan milczy — pisały „Nakazy dnia" — nie może pan nie wiedzieć o naszych zarzutach, gdyż posyłamy panu każdy numer naszego pisma. Mamy na to recepisy pocztowe. Więc dlaczego teraz nie występuje pan przeciw „układom z łobuzem", czemu udaje pan, że nic o tem nie wie?"

„DEMONEK" Z WODĄ W BUZI

„Nakazy dnia" nie doczekały się odpowiedzi. „Demonek ze Szpitalnej", jak go nazwał „Czas", czy „demoniak", jak mylnie przedrukował „Nasz Przegląd", milczał jak zaklęty. Milczał nawet wtedy, gdy czerwona prasa doniosła, że „pertraktacje z Boussac'iem dobiegają końca", a zaś „sprawa karna siłą rzeczy przesuwa się na plan dalszy".

Jeśli wierzyć „Nakazom dnia" i pogłoskom, które obiegają miasto — chodzi poprostu o to, że predystynowani na prezesów nowego zarządu szefowie Lewiatana zbyt ściśle są związani z grupą „panów M", zbyt wiele dobrych usług oddali jej i w przyszłości prawdopodobnie oddadzą — by... nie warto było zatkać uszu na wszelkie zarzuty, nabrać wody w buzię i nie stłumić w sobie „świętego oburzenia" na pertraktacje z „łobuzem i złodziejem".

Podobno nawet cały ów pierwszy wybuch „patrjotycznego myślenia", był obliczony na utrącenie arbitrażu, ówczesnych arbitrów i utorowanie drogi dzisiejszym kontrahentom i kandydatom na prezesowskie fotele i — gaże.

Ano „drobne usługi tworzą dobrych przyjaciół" jak powiada francuskie przysłowie. Istotnie — czegóż się dla przyjaciół nie robi?

TRZECI „PAN M" NA WIDOWNI

Na widownię wypływa więc dobry przyjaciel obu „panów M" — p. Minkowski — „przewodniczący rdzennie polskiego konsorcjum, które ma przejąć zakłady Żyrardowskie" — jak donosiła prasa.

A że „tres faciunt colleqium" względnie „alle gute Dinge sind drei" — przeto zaspół trzech „panów M" został skompletowany.

Można to zresztą, jeśli kto woli, powiedzieć bardziej poetycznie, słowami ballady Schillera — że „Pan M. numer trzeci" wzruszony widokiem przyjaźni „pana M. numer pierwszy" z „panem M. numer drugi" — zwrócił się do nich z prośbą o umożliwienie mu przyłączenia się do zacnego ich grona —

„...Ich sei gewehrt mir die Bitte
In eurem Bunde der Dritte!"

Co się właśnie, w sposób wyżej opisany, dokonało.

OPINJA PUBLICZNA BIJE NA ALARM!

Wreszcie poruszyła się opinja publiczna. „Goniec Warszawski" ogłosił alarmujący artykuł pod wiele mówiącym tytułem: „Tajemnica Żyrardowa musi być wyjaśniona! Boussac dostanie 30 miljonów za 45 tysięcy złotych! A drobni akcjonarjusze polscy?"

W artykule tym czytamy m. in.:

„...Wedle pogłosek, krążących uporczywie w sferach gospodarczych, nabywcami akcyj Boussacowskich mają być nie drobni akcjonarjusze, lecz członkowie zarządu syndykatu akcjonarjuszy.

Pieniądze dostarczone będą poprostu przez B. G. K., przyczem nabywcy akcji złożą jedynie tytułem gwarancji dla tego banku obligacje pożyczki narodowej (skonwertowane, czy nie skonwertowane?).

Gdy B. G. K. udzieli kredytu, wszystko będzie załatwione. Stopniowe opłaty na rzecz Boussaca, który odrazu otrzymać ma jedynie skrypty dłużne, nie zaś gotówką, mają być dokonywane z zysków Żyrardowa.

Wolno przypuszczać, że fabryka, — cieszyć się będzie nadal, podobnie jak za czasów sekwestru poparciem władz, zapewniającem należytą rentowność.

Gdyby tak miało być w istocie, Żyrardów przeszedłby znowu w inne ręce... bez gotówki. To już taka tradycja Żyrardowska..."

CO NA TO CZYNNIKI MIARODAJNE?

Oczy społeczeństwa zwracają się w stronę Prezydjum Rady Ministrów. Opinja publiczna, mająca po uszy wszelkich „demonków" i ich gierek — oczekuje miarodajnego oświadczenia ze strony Rządu, do którego żywi pełne zaufanie opierające się na autorytatywnych oświadczeniach poszczególnych Jego członków.

Opinja publiczna wierzy, iż interesy drobnego ciułacza, nie będą narażone na szwank dla bussines'u panów z Lewiatana i — że wydarty z rąk zagranicznego łupieżcy Żyrardów — nie stanie się skolei żerem dla rodzinnych Boussac'ów pragnących się utuczyć na krzywdzie małego akcjonarjusza.

Wobec, w najwyższym stopniu niepokojących pogłosek, miarodajne oświadczenie znakomicie przyczyni się do odprężenia naelektryzowanej at-

Jerzy Grot.

P. Knoll urzęduje...

Stanowisko dyrektora Związku Prywatnych Zakładów Ubezpieczeń zostało powierzone b. posłowi polskiemu w Berlinie, a następnie krótkotrwałemu publicyście „Expresu Porannego" p. Romanowi Knollowi, który pobierać będzie **3.000 zł. gaży miesięcznej.**

Wedle krążących pogłosek, jednem z pierwszych posunięć min. Knolla ma być wciągnięcie na listę instytucyj państwowych, których rentowność bada się obecnie, również działu ubezpieczeń na życie PKO i publicznych zakładów ubezpieczeń.

„Oszczędni" rolnicy

Sensacją sui generis stał się wniosek „grupy rolników" dążący do uzyskania w ramach budżetu 100 miljonów złotych na... szkolnictwo wiejskie i inne t. p. piękne cele — drogą odpowiednich skreśleń w budżetach poszczególnych resortów.

W kuluarach sejmowych opowiadają sobie w związku z tem, że ów nagły zapał do oszczędności — to jeszcze jedna gierka „demonka" ze Szpitalnej", mająca na celu utrudnienie sytuacji p. min. Kwiatkowskiemu i tem samem podkopania jego stanowiska, na które oddawna ostrzy już ząbki ów deflacyjny demonek.

Akcją pomysłu demonka, na terenie sejmowym kieruje pono „demonek bis", czyli „pan M. Nr. 2".

Cała ta kombinacja zaś, pochodzi ze złotej serji pomysłów spółki, która uważa, że jedynym właściwym wyrazem opinji kraju jest redagowany przez nią „Dodatek polityczny i literacki do „Głosu polskich komorników".

Na szczęście i p. min. Kwiatkowski i opinja społeczna dostatecznie dobrze znają i siebie i sytuację i orjentują się czemby był dla kraju powrót „demonków" do steru, aby ktokolwiek przejął się na serjo tą nową „rozgrywką".

Najgorzej wyjdzie na tem oczywiście owa „zdemonizowana" grupa rolnicza, bo napracuje się na darmo, szukając w całem dziury, no, ale to trudno! Ktoś musi przecież zapłacić za marzenia „demonka" o... „Dniu jego powrotu".

Floret.

Kochana „Warto"

W odpowiedzi na podaną w poprzednim numerze naszego tygodnika wiadomość o drukowaniu antysemickiego dziennika „Warta" w drukarni stanowiącej własność... Żydów, dziennik ten, w nr. z dn. 1-go b. m. ogłasza list otwarty Zarządu Drukarni Pracowniczej do redakcji WIEM WSZYSTKO.

Niestety, list panów z Drukarni Pracowniczej mętny i zagmatwany, niczego nie wyjaśnia, a co ważniejsze — nie odpiera zupełnie naszych infromacyj, które sprowadzają się do stwierdzenia dwu nast. faktów:

1-o, **drukarnia Pracownicza, wydzierżawiona spółdzielni, w rzeczywistości stanowi własność wdowy po wydawcy żydowskich „Ostatnich Wiadomości", 100% żydówki p. Lebenbaumowej,**

2-o, **pełnomocnikiem wdowy Lebenbaumowej jest również 100% Żyd wileński p. Szejniuk, z którym, nolens - volens administracja „Warty" musi kontaktować się.**

Oczywiście, że dla rozsądnego człowieka fakty te nie miałyby najmniejszego znaczenia, a więc i my również nie zajmowalibyśmy się nimi, ale „Warta" jest organem antysemickim, nawołującym do walki z żydostwem, do bojkotu wszystkiego co żydowskie... Aż tu nagle — sami Żydkom dopomagają! Sytuacja jest conajmniej groteskowa i nie potrafi jej uratować nawet bzdurna notatka p. t. „Śmiej się pajacu" opublikowana w nr. „Warty" z dn. 2-go b. m.

Jesteśmy głęboko przeświadczeni, że tego steku idjotyzmów nie czytał w rewizji naczelny redaktor „Warty" p. Stefan Kwiatkowski, który wedle enuncjacji naczelnego publicysty „Warty" p. Leona Miguły (Gnom), jest oficerem rezerwy i oficerem 2-go Oddziału... a jeśli ten idjotyzm czytał i puścił go do numeru, to... 2-gi Oddział niemoże być dumny z takiego oficera.

Czarnoksiężnik z ul. Żórawiej

Szyller-Szkolnik, nędzarz-miljoner

„Nie przesyłaj żadnego wynagrodzenia, Czytelniku! Pozwól mi bezpłatnie w celach naukowych, na zasadzie astrologji i obliczeń kabalistycznych wybrać dla Ciebie odpowiedni, szczęśliwy numer losu".

Oto początek anonsu, który notorycznie ukazuje się w pismach warszawskich i prowincjonalnych. To jest ogłosznie sławnego Szyllera Szkolnika. Zresztą wystarczy spojrzeć na czarny profil w półksiężycu, ażeby widzieć o co chodzi...

„ZJAWCA" Z UL. ŻÓRAWIEJ

Szyller Szkolnik i m-elle Ewigny, cudowne medjum genjalnego jasnowidza, redaktora, grafologa, astrologa, chiromanta i mistrza nauk hermetycznych.

Czy to wystarczy?

Przyjdź do Szyllera Szkolnika. On a nie kto inny wskaże Ci drogę Twego życia, on zgadnie Twoje nazwisko, on wybierze Ci los, na który padnie największa wygrana, bodaj miljon, on wyprowadzi Cię z trudności i kłopotów życiowych. Pan Szyller Szkolnik z ulicy Żórawiej 18.

MISTRZ HOCHSZTAPLERKI

A teraz, wierni swej dewizie, zajrzyjmy za kulisy interesów handlowych Szyllera Szkolnika, tego arcymistrza hochsztaplerki i szulerstwa. Kanciarza, który wyrósł na tragicznej nędzy i beznadziejnej ciemnocie polskiej.

Szyller Szkolnik to nie jest nazwa osoby. To nazwa wielkiego przedsiębiorstwa, prowadzącego z wielkim talentem od bardzo wielu lat swoją występną działalność na terenie całego kraju.

2.000 LISTÓW DZIENNIE

W biurze Szyllera Szkolnika pracuje 20 osób. Dzienna korespondencja przekracza 2.000 listów. Codziennie przez próg gabinetu „mistrza" przechodzi kilkadziesiąt osób. I wszystko bezpłatnie, wszystko bezinteresownie...

Czytelniku, przyślij tylko znaczki na odpowiedź pocztową. Bo Szuller Szkodnik wymienia co miesiąc na poczcie znaczków na sumę około 2,000 zł. Pozatem jedyne o co prosi filantrop, to zaprenumerowanie jego miesięcznika „Świt". Pamiętajcie, nie „Świat" a „Świt" wychodzący pod „redakcją" Szkolnika.

KANT LOTERYJNY

Z przyjęć wpływa codziennie do kasy Szyllera Szkolnika około 150 złotych.

Ale, myliłby się ten, ktoby przypuszczał, że tutaj ukrywa się źródło interesów „maga". Nie tutaj kryją się tajemnice krociowych sum wyciąganych z ogłupiałego klijenta, szarego człowieka spragnionego,, uśmiechu osu.

Gros interesów oszukańczego przedsiębiorstwa, które najformalniej i najlegalniej uprawia rozbój na równej drodze, to — losy loteryjne, szczęśliwe losy, na które pada z reguły najwyższa wygrana, miljon!

80,000 „SZCZĘŚLIWYCH" LOSÓW

Do każdej loterji wskazuje Szyller Szkolnik 80,000 „szczęśliwych" losów! Warto zapamiętać tę zawrotną cyfrę, a jeszcze bardziej warto zapamiętać o tem, że ogólna cyfra wypuszczanych przez Loterję Państwową losów sięga 195,000. W tych warunkach niezbyt trudno o „przepowiednie".

Ale szary człowiek o tem niewie. Dla szarego człowieka Szyller Szkolnik jest w samej rzeczy „dobrem bóstwem", które może zesłać... miljon!

Zysk z tych „bezpłatnych" porad jest olbrzymi. Poza znaczkami na „odpowiedź", która nota bene jest wysyłana jako... druk za ulgową opłatą, i prenumeratą „Świtu", Szyller Szkolnik nie zaniedbuje jeszcze innych źródeł mogących mu przynieść dochód z tego „przepowiadania", zwłaszcza, że jak wiadomo Loterja Państwowa bezpośrednio losów nie sprzedaje, a wartość moralna wszystkich kolektorów nie zawsze jest jednaka...

PROCENT OD... SZCZĘŚCIA

A kiedy na część z tych 80,000 losów pada wygrana (trudno wszakże aby ani jeden los nie wygrał...) Szyller ma już uprzednio zawarowaną „zasłużoną" nagrodę. Wybraniec fortuny, który rzekomo zawdzięcza swoje szczęście Szyllerowi, dzieli się z nim wygraną. Często do przedsiębiorstwa oszusta wpływa po kilkadziesiąt tysięcy złotych z każdego miesięcznego ciągnienia...

Szyller Szkolnik liczy dzisiaj około 70 lat. Nie można jednak powiedzieć, aby syt sławy i bogactw usunął się w zacisze domowych pieleszy, rezygnując z dotychczasowej pracy, zwłaszcza, że jest dziś właścicielem trzech wielopiętrowych kamienic, 2 will, niewątpliwie pokaźnej gotówki w bankach polskich i zagranicznych (na wszelkį wypadek), a przecież mimo to dalej prowadzi „interes", nie rezygnując z tej dosłownie złotodajnej żyły.

MĄŻ — NĘDZARZ, ŻONA — MILJONERKĄ!

Zresztą, małe sprostowanie. Szyller Szkolnik sam, osobiście niema nic! Miljonerką zato jest jego małżonka? Dlaczego? Bardzo jasne — Szyller Szkolnik niechce płacić podatków. On jest nędzarzem, on nawet nie posiada mebli... Szyller Szkolnik, mistrz nauk hermetycznych wpadł bowiem na genjalny sposób ażeby udaremnić ewentualne egzekucje skarbowe.

Poprostu poprzytwierdzał wszystkie krzesełka, fotele, stoły do... podłogi. Szafy ma w ścianach. I oto władze skarbowe w jego osobistem mieszkaniu nie mogą nic zająć, zas pozostała miljonowa fortuna jest nietykalna, albowiem, jak już zaznaczyliśmy, cały majątek opiewa na nazwisko żony.

W ten, idealnie prosty sposób sędziwy hochsztapler okrada z całą bezczelnością skarb Państwa.

PAN „MIGNONU"

„Chiromanta" zresztą nie płaci nie tylko Skarbowi. Zarywa on każdego, kogo można. Leciwy ten aferzysta nie zadawalniając się zyskami ze swego oszukańczego procederu, zajął się również branżą „artystyczną". Finansował on teatrzyk „Mignon" przy ul. Marszałkowskiej, a gdy impreza splajtowała, oszukańczy finansista nie zapłacił złamanego grosza pracownikom, którzy obecnie prowadzą z nim spór sądowy.

Zagranicą władze podjęły już energiczną walkę z kryminalnymi procederzystami tego rodzaju. W III-ej Rzeszy za takie „interesy" idzie się z miejsca do kryminału.

Dzisiaj kiedy dla tysięcy wykwalifikowanych, zdolnych pracowników uzyskanie posady chociażby za najnędzniejsze wynagrodzenie, jest szczytem marzeń, tolerowanie w praworządnem państwie jawnego oszusta, zarabiającego krocie na zuchwałych machinacjach, to fakt conajmniej niezrozumiały.

UPRZYWILEJOWANY AFERZYSTA

Zwłaszcza, że tenże oszust z setek tysięcy złotych, które wyłudza od naiwnych nie płaci ani grosza należnych Skarbowi Państwa podatków. Wiemy doskonale, że egzekucja podatkowa w naszych warunkach doszła do niezwykłej perfekcji. Znamy konkretne wypadki rujnowania przedsiębiorstw za skromne nawet zaległości podatkowe. Ale Szuller Szkodnik nie przejmuje się. Przymocował krzesła i stoły do powego.

Trudno presądzać kto ponosi winę za tolerowanie tego aferzysty, jedno jest pewne, że skonsolidowana akcja całej prasy polskiej, którąby zdecydowała się zrezygnować z... ogłoszeń Szyllera Szkolnika, napewno znakomicie przyczyniłaby się do „likwidacji" mistrza nauk hermetycznych.

„Nie przysyłaj żadnego wynagrodzenia, Czytelniku! Pozwól mi bezpłatnie w celach naukowych, na zasadzie astrologji i obliczeń kabalistycznych oszukać cię, naiwna owieczko, ofiaro losu, ale nie... loteryjnego!".

V.

Week-end w Berlinie

za pieniądze z „murzyńskiej" Warszawy

Poprzedni numer WIEM WSZYSTKO przyniósł w sensacyjnym artykule wstępnym garść nazwisk cudzoziemców osiadłych w Polsce na co najlepszych stanowiskach z odpowiednio wielkiemi gażami, zdobywanemi, oczywiście, kosztem coraz tragiczniejszej nędzy obywateli Rzeczypospolitej.

„PLANTATORZY".

Ci „panowie z europejskiej koncesji", lub jak ich proletarjat pracowniczy nazywa: „zagranicznicy", to jedna z najdokuczliwszych bolączek Polski.

Stosownie do zapowiedzi, w dzisiejszym numerze prezentujemy naszym Czytelnikom konterfekt jednego z takich „plantatorów".

W italskiem tow. asekuracyjnem „Generali" przy pl. Dąbrowskiego stanowisko jednego z dyrektorów zajmuje p. Jachman.

DYR. JACHMAN Z BERLINA

Dyr. Jachman nie jest Polakiem, do oddziału warszawskiego „Generali" został przysłany z centrali berlińskiej. Z urzędnikami mówi tylko po niemiecku, aczkolwiek rok już mieszka w Warszawie.

Nie interesowałaby nas tak specjalnie jego osoba, gdyby nie dość charakterystyczny szczegół. Pan dyrektor Jachman przebywa w Warszawie (mieszkając zresztą od roku w hotelu Bristol) zwykle najwyżej 4 do 5 dni, na pozostałe dwa lub trzy dni p. Jachman regularnie co tydzień odlatuje samolotem do Berlina. Tam robi doskonałe lub mniej doskonałe interesy, operując pieniędzmi wywiezionemi z... murzyńskiej Polski, tam wypoczywa w luksusowej willi własnej pod Berlinem, tam p. Jachman czuje się „u siebie w domu".

SPEC OD PROPAGANDY

W Warszawie dyr. Jachman pracuje. Ale pracuje na swój sposób, odpowiadający jego zdaniem kolonjalnym charakterowi Polski. Więc jako spec od propagandy obmyśla najróżniejsze kruczki propagandowe, na które łatwo da się złapać „polski murzyn", podbija rynek, wytwarza niezdrowe stosunki i degraduje wartość asekuracji w oczach społeczeństwa.

TAJEMNICZE MANDATY

Niewiemy jakie mandaty, ukryte w głębiach partfelu p. Jachmana dają mu tyle pewności siebie i każą innym patrzeć przez palce na zuchwałe sztuczki tego „propagandowego genjusza" italskiego towarzystwa asekuracyjnego. Muszą to być jednak mandaty bardzo mocne, jeśli p. dyr. Jachman pobiera 3,000 zł. miesięcznie stałej gaży, ponadto 100 zł. dziennej djety, nielicząc tantjem i t. zw. super-prowizji, a dyrektor naczelny „Generali" p. Wiener niemoże rozstać się z tym klasycznym dla naszych stosunków okazem „plantatora".

PONURY SYMBOL

Ten p. dyrektor Jachman, co piątek lub sobotę odlatujący samolotem do Berlina, aby tam wydawać u nas zarobione pieniądze, urasta do wymiarów symbolu, ponurego symbolu, obcej eksploatacji, dlatego też właśnie p. Jachmana wysunęliśmy na czoło naszej galerji cudzoziemskich „plantatorów".

MONOPOLOWE ZAPALNICZKI

W najbliższym czasie wejdzie w życie nowe ustawa dotycząca opłat stemplowych od... zapalniczek. Ustawa ta zmodyfikuje dotychczasowe przepisy, mocą których zamiast jak dotychczas rok-rocznie stemplować maszynki, będzie się za opłatą zniżoną 3 zł. uzyskiwać stempel raz na zawsze.

Władze skarbowe biorąc pod uwagę dotychczasowy chaos w tej dziedzinie, prawdopodobnie wprowadzą kilkotygodniowy okres, w czasie którego wszyscy posiadacze nie ostemplowanych dotychczas zapalniczek, będą mogli uczynić to wedle nowych przepisów. Mówi się przytem o wprowadzeniu „okresu amnestyjnego" dla posiadaczy nieostemplowanych maszynek.

W związku z tem należy spodziewać się gruntownych zmian w Monopolu Zapałczanym, gdzie niewątpliwie w pierwszym rzędzie wprowadzony zostanie dział produkcji kamieni do zapalniczek, a następnie również i samych zapalniczek.

Czy miejskim lombardem rządzi fachowiec?

Na marginesie procesu o nadużycia

W sądzie okręgowym toczył się ostatnio proces o wielkie nadużycia w miejskim lombardzie. Nadużycia trwały bardzo długo i odznaczały się wielką zuchwałością.

GODNA KOMPANJA

Skarbnik bezceremonjalnie wydostawał ze skarbca zastawy i poraz drugi je zastawiał przez podstawione osoby. Taksator kazał sobie przynosić tombakowe przedmioty, które przedtem złocił, **a następnie szacował bezwartościowe rzeczy, jako złote.** Szkiełka taksowano jako brylanty i t. d. W nadużyciach brali udział zresztą i inni urzędnicy.

Wreszcie afera wydała się i sala sądu okręgowego, która coraz częściej gości na swojej najmniej honorowej ławie b. dygnitarzy miejskich tym razem została zajęta przez nieuczciwych urzędników i **b. dyrektora lombardu, który odpowiadał za brak nadzoru.**

BRAK KONTROLI

Przed sądem stanęli biegli: buchalter i fachowiec w zakresie lombardowania przedmiotów. Obaj jednogłośnie stwierdzili, że gdyby kontrola była ścisła, porządek przyjmowania fantów przestrzegany, nadużycia wyszły wnet na jaw. **Dyrektor lombardu nie wnikał dostatecznie w skomplikowane arkana lombardowych manipulacyj, nie stosował odstatecznej kontroli.**

Były dyrektor Chodynicki uchodził za tęgiego fachowca. A mimo to nie dopilnował swoich urzędników. Pan Chodynicki tłomaczył się, że każdego mogą okraść, że zresztą były inne też instancje kontrolujące, ale przecież przedewszystkiem do wykrycia nadużyć był powołany on.

NOWY DYREKTOR

Piszemy te uwagi na marginesie procesu o nadużycia w lombardzie w związku z osobą następcy dyrektora Chodynickiego, **pana dyrektora Juljusza Zagrodzkiego.**

Po ustąpieniu dyrektora Chodynickiego posadę jego objął pan Zagrodzki, były właściciel biura filmowego Lux, a następnie Komisfilmu oraz kina Filharmonji i dzierżawca gmachu, gdzie mieści się obecnie kino „Rialto" i lokal Colombina.

Powołanie pana Zagrodzkiego na stanowisko dyrektora lombardu w najwyższym stopniu zaskoczyło opinję publiczną, a w szczególności wywołało zdumienie w sferach filmowych, gdzie osoba byłego dzierżawcy kina Rialto była bardzo popularna.

Zbyt dobrze orjentując się w moralnej wartości poszczególnych reprezentantów naszych sfer filmowych, niechcemy bezkrytycznie przyjmować ich opowiadań o b. koledze.

PRAWDA CZY OSZCZERSTWA?

Niechcemy bezkrytycznie wierzyć, że interesy p. Juljusza Zagrodzkiego w przededniu mianowania go na stanowisko dyrektora lombardu miejskiego zostały mocno zachwiane, że zobowiązania p. Zagrodzkiego straciły ostatnio wszelką wartość, a weksle dyskontowane były przez lichwiarzy na niezwykle wysoki procent, bowiem wierzyciele niemogli dać sobie rady z wywindykowaniem należności, chociaż o tych trudnościach finansowych dobitnie mówi wyrok sądu, mocą którego p. Zagrodzki uzyskał nadzór sądowy. W dzisiejszych czasach takie „drobnostki" nikogo nie hańbią...

Trudno nam również uwierzyć w to, że z tytułu samych podatków i zobowiązań wekslowych **p. Zagrodzki jest winien zawrotną sumę około 100 tysięcy złotych.**

Tembardziej trudno, że wszechwiedząca „branża" zapewnia, iż obecnemu dyrektorowi lombardu materjalnie nie powodzi się tak źle, a pozornie beznadziejna sytuacja finansowa została wytworzona koniecznością obrony przed zbyt natarczywymi wierzycielami...

GDZIE KWALIFIKACJE...

Faktem jest, że w pewnym momencie p. Zagrodzki zlikwidował swe filmowe interesy i... został dyrektorem lombardu. Niechcemy wiedzieć kto protegował p. Zagrodzkiego na to poważne i wymagające dużego doświadczenia stanowisko, a w każdym razie niechcemy nazwiska tej osoby ujawniać, ale mamy chyba prawo w imię dobra publicznego zapytać, jakiemi kwalifikacjami wykazał się p. Zagrodzki, **że właśnie jemu powierzono to stanowisko, którego olbrzymią odpowiedzialność ujawnił odpiero zakończony w bieżącym tygodniu proces.**

Powiedzmy, że już niechodzi o to w jakim stopniu i czy naprawdę p. Zagrodzki był niewypłacalny, że zostal ponoć winien dziesiątki tysięcy złotych Skarbowi, że od pierwszej chwili objęcia stanowiska w lombardzie, odpowiednio wysoka pensja p. Zagrodzkiego jest, rzekomo, systematycznie obkładana aresztem, zostawmy to wszystko na boku...

A MOŻE...

A może wprowadzono nas w błąd, może to nie p. Juljusz Zagrodzki był właścicielem plajtujących biur filmowych, może to nie on jest winien Skarbowi tysiące złotych, natomiast może właśnie on jest jedynym odpowiednim człowiekiem do kierowania lombardem, z którym niemógł sobie dać rady taki stary wyga, jak p. Chodynicki.

P. Zagrodzki ma niewątpliwie jeden poważny walor — jest bezwzględnie uczciwy, ale... czyż to wystarczy aby być kierownikiem tak poważnej instytucji publicznej?... A może p. Zagrodzki jest oficerem 2-ki? W takim razie — baczność! W prawo patrz!...

Tom.

Panowie, a gdzie głowy?!

W TKKT niema co grać...

Bezhołowie szalejące w koncernie Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej wchodzi w stadjum **całkowitego zaniku zdrowego rozsądku.** W poprzednich numerach, możliwie jaknajobjektywniej omówiliśmy szereg fatalnych posunięć zarówno obsadowych, jak i finansowych tego arcygroteskowego koncernu, który Bóg raczy wiedzieć dlaczego tak długo „uszczęśliwia" nas swem istnieniem.

Z relacji naszych wynikało jasno, że na koncern TKKT w ostatnich czasach spadła „złota manna" w postaci zupełnie niespodzianego wzrostu zainteresowania publiczności warszawskiej sztuką teatralną.

Dziecko pojmie, że tego rodzaju „tłusty okres" każdy, **zdrowo myślący człowiek** wykorzysta przedewszystkiem dla przygotowania dalszych planów. Tylko w TKKT jest inaczej.

Nie bądźmy jednak gołosłowni.

Teatr Mały p oraz 120 wystawił sztukę Shawa „Żołnierz i bohater". Sto dwadzieścia przedstawień, to prawie cztery miesiące. Można było rozporządzając takim aparatem jak T.K.K.T. **przygotować przez ten czas nie jedną, a kilka sztuk.** Tymprawdopodobnie znów na komedję: czasem sanhedryn repertuarowy, prawdopodobnie znów na komendę: „baczność. W prawo patrz!..." postanowił wystawić sztukę jedynej akademiczki — Zofji Nałkowskiej „Niedobra Miłość".

Nikt niema zamiaru negować wielkiego talentu pisarskiego p. Nałkowskiej, ale „Niedobra Miłość" to naprawdę... niedobra sztuka. W Teatrze Małym ani rusz nie byłaby na właściwem miejscu. Trzeba było przenieść ją do Teatru Narodowego, a w Małym dalej tłuc... „Żołnierza i bohatera", który, jako przedstawienie solidnie już ograne, kasowo jest coraz słabszy.

Próbuje się coprawda sztukę Achardea „Co-Co", ale próby potrwają jeszcze conajmniej dwa tygodnie, a co robić przez te dwa tygodnie?

Nie trzeba się również łudzić, że „Niedobra Miłość" długo popasa w Narodowym. I tam, z konieczności dyrekcja wróci do „Fryderyka Wielkiego", tak jak zresztą w Teatrze Polskim, niemając innego ratunku, bo przez tyle czasu... brakło czasu aby nowości przygotować, **miele się konsekwentnie „Stare Wino".**

Ktoś, kto patrzy zboku na te „cudeńka" niemoże oprzeć się wrażeniu, że „źle się dzieje w państwie duńskiem". Czyżby u starego Rechtlebena sztuk zabrakło? Jest świetna okazja żeby którykolwiek z dygnitarzy TKKT wyjechał po repertuar zagranicę. Możnaby w tym celu oddelegować z wizytą przy ul. Dzielnej p. dyr. Łaniewskiego. Onby po drodze „wynajął" parę dekoracyj i kostjumów, coby znakomicie przyczyniło się do zmniejszenia djet...

Jednakże, odłóżmy żart na stronę. Pan Szyfman jest przecie trzeźwym i bardzo zdrowo myślącym człowiekiem. Czyżby on niemiał w TKKT już nic do powiedzenia w sprawie repertuaru? Czyżby o wszystkiem decydował naczelnik Zawistowski pospołu z rotmistrzami ułanów?

Zabawa robi się coraz smutniejsza. Czas ją skończyć, panowie! **K. Mił.**

DYSPROPORCJE

Panu wicepremierowi Kwiatkowskiemu, nieustraszonemu bojownikowi o usunięcie wszystkich nienormalnych przejawów naszej polskiej rzeczywistości - poświęcamy.

Sędzia Sądu Okręgowego w Polsce, po potrąceniu podatków, dodatków, rat pożyczki inwestycyjnej itd. otrzymuje miesięcznie **na rękę około 400 zł.**

Za te pieniądze musi utrzymać i wyżywić siebie, żonę, a często i kilkoro dzieci. Nie wypada mu mieć **żadnych postronnych zarobków** w jakiejkolwiek formie, ale również nie śmie ukrywać nawet pod dostojną togą sędziowską cerowanych rękawów marynarki. Musi żyć za to, co ma i to tak żyć, by w niczem nie narazić wielkiej godności stanu sędziowskiego.

Trzeba przyznać, że polscy sędziowie rzeczywiście tę godność utrzymują. Trzeba przyznać, że mimo tych warunków materjalnych tytuł sędziego w dalszym ciągu **jest synonimem wysokiego poziomu moralnego i nieskazitelnej sprawiedliwości.**

A warto tu przypomnieć, że równorzędny sędzia angielski otrzymuje pensję w wysokości około 150.000 zł. rocznie. Naród angielski bowiem rozumie doskonale, że niezależny, wygodny byt sędziego będzie najlepszą gwarancją objektywnej sprawiedliwości.

Niestety u nas tej prawdy nigdy nie doceniano. W ostatnich czasach staraliśmy się tylko o poziom życiowy naszej administracji i często się zdarza, że byle urzędnik starostwa czy też dróżnik albo panna, prowadząca kancelarję w jakimś urzędzie, **ma więcej niż sędzia,** w którego rękach leży honor, majątek, a czasem i życie obywateli.

Dlaczego tak się dzieje?

Znamy na pamięć odpowiedź na to pytanie: niema pieniędzy. Sędziowie, jako obywatele, muszą ponosić w pierwszym rzędzie konsekwencje tego.

Dobrze. Ale...

Istnieje urząd pisarza hipotecznego. Urząd ważny, ale bynajmniej nie wymagający większych kwalifikacyj i większej pracy od urzędu np. rejenta, nie mówiąc już sędziego. Pensja sędziego okręgowego przywiązana do tej funkcji napewno byłaby sprawiedliwa.

Tymczasem wszyscy doskonale o tem wiedzą, **że zarobki pisarzy hipotecznych wynoszą dwadzieścia i trzydzieści tysięcy miesięcznie.** Kilka miljonów rocznie płynie z kieszeni obywateli na wyjątkowe uposażenie pisarzy hipotecznych, uposażenie, przekraczające kilkakrotnie pensje najwyższych dygnitarzy państwa.

Coś tu jest nie w porządku i wszyscy o tem wiedzą. Stugębna plotka, ta plotka, która tyle złego w Polsce wyrządza, a z którą postanowił walczyć bezwzględnie pan premjer Kościałkowski, obiecując informować o wszystkiem bezpośrednio opinję publiczną, ta plotka rejestruje nonsensową wiadomość, **że jedna z najlepszych posad pisarza hipotecznego, a nawet dwie z nich razem, są zarezerwowane dla pewnego wysokiego dygnitarza z chwilą, gdy zechce pójść na emeryturę.**

Nie wierzymy tej plotce, choć znajduje ona posłuch nawet wśród sfer sądowniczych. Wspominamy o niej jedynie dlatego, by odeprzeć z miejsca możliwości istnienia w Polsce faktów, któreby świadczyły o przedziwnym upadku naszej moralności publicznej. **Miky.**

Czyżby naprawdę...?

.....Niedobra miłość" akademiczki Zofji Nałkowskiej, odrzucona przez dwa teatry, dla braku jakichkolwiek walorów scenicznych, wystawiona została przez Teatr Narodowy, jedynie dlatego, że p. Nałkowska jest członkiem Akademji Literatury? Jeśli tak jest, prośmy Boga, żeby nie napisał operetki Mirjam...

✶

...podczas ostatniego głosowania w sprawie wyboru nowego akademika, bardzo poważnej kandydaturze Juljana Tuwima, kategorycznie przeciwstawił się... K. H. Rostworowski? Miał on rzekomo powiedzieć, że: „Tuwim będzie mógł zająć mój fotel, póki jednak żyję, nie róbcie mi tej przykrości"!

✶

...czysty zysk fabryki żarówek „Tungsram" za rok 1935, wynosił wedle notatek jakie pojawiły się w prasie, zaledwie 30 tysięcy złotych?

✶

...czynniki powołane zdecydowały się wreszcie do przeprowadzenia sanacji w „korpusie dyplomatycznym".. honorowych konsulów, „akredytowanych" w Warszawie i innych miastach Polski?

✶

...mimo skandalicznej, kryminalnej afery z „balem mody" organizator tej imprezy, Bronisław Iwanowski, zorganizował niedawno analogiczną imprezę w jednym z dancingów warszawskich, przyczem za 1,000 zł. wybrano „królową piękności" wyjątkowo mało urodziwą, kiepską tancereczkę baletu warszawskiego?

✶

...w ostatnich dniach w jedynym z prywatnych, koncesjonowanych klubów brydżowych stolicy, jeden z bogatszych obywateli stolicy, grając w bridża bez przerwy 24 godziny, przegrał 7,500 złotych?

✶

...dyrektorem Związku Autorów i Kompozytorów Scenicznych po nieświetnej pamięci rządach p. Stanisława Ossorji-Brochockiego i kurateli p. Kuśty, został mianowany dyrektor jednego z wydziałów TKKT p. major Jasiński.

✶

..dyrektorem znanej f-my obuwniczej „Delka" p. K. miał przyjaciółkę — aryjkę w Berlinie. Przyjaciółka ta, niemogąc przyjmować odwiedzin p. Klausnera w stolicy III-ej rzeszy regularnie co tydzień przylatuje doń samolotem do Warszawy?

✶

...zapowiadany od roku w Warszawie wielki, 10-groszowy dziennik Forda, przeznaczony specjalnie do propagowania wozów tej marki, montowanych w Polsce, miał być redagowany przez dziennikarza słynącego z przykrego pechu, polegającego na tem, że gdziekolwiek dziennikarz ten pracuje, pismo ulega likwidacji?

✶

... naczelny publicysta antysemickiej „Warty", podpisujący się pseudonimem: „Gnom", był jednocześnie wspólnikiem żydowskiej firmy handlującej manufakturą?

✶

...w mieszkaniu b. radcy MSZ-tu p W. rozegrała się następująca scena? Bezmała godzinę dobijał się do drzwi mieszkania komornik. Gospodarz aczkolwiek był wewnątrz, to jednak drzwi tych nie otwierał, aż wreszcie komornik wezwał ślusarza. Oczywiście stwierdziwszy, że gospodarz był w mieszkaniu, komornik zabrał się do spełniania swych obowiązków w nastroju pragnąc zanotować w protokóle zajęcia treść obrazu przedstawiającego jakąś ucztę lukullusową, zapytał o tytuł tego obrazu — właściciela. Zdenerwowany wizytą komornika, radca W. burknął niechętnie:

— To jest bitwa pod Grunwaldem...

Nietrzeba dodawać, że po tej odpowiedzi i tak rozzłoszczony już komornik nie był specjalnie względny dla właściciela mieszkania..

✶

...właściciel kilku cukrowni, znany ze skąpstwa, zmuszony został do wypłacania pewnej Węgierce występującej przed paru miesiącami w jednym z dancingów warszawskich, 700 zł. miesięcznie alimentów?

✶

...do rzędu najbardziej zapracowanych ludzi w Warszawie należy podobno dr. Boral, naczelny lekarz komisyjny jednego z wielkich, włoskich towarzystw asekuracyjnych a jednocześnie lekarz Ambasady Italskiej w Warszawie?

Dr. Boral przed południem bada klijentów tow. asekuracyjnego czy aby zbyt prędko nie przeniosą się do wieczności, zaś po południu lustruje patrjotycznych Italczyków, sprawdzając czy... nadają się na śmierć w Abisynji.

✶

..tak genjalny w oczach sławnego Reinharda polski reżyser p. Ordyński, nie mógł po dziś dzień znaleźć zrozumienia ani w Hollywood, ani we własnej ojczyźnie?

✶

... Gdy zapytano jednego z akademików, dlaczego nagrodę młodych otrzymał p. Światopełk Karpiński, w którego poezjach, przy największej dozie dobrej woli trudno się dopatrzeć czegoś więcej ponad... przeciętność — zapytany odparł:

— Cóż pan chce? Nie jest to istotnie „wielki świat" poezji, a tylko mały, bardzo mały — *światek*, ale na bezrybiu, byle *Karpik* — *łososiem!*

Łączka kretynów

T. zw. „występki artystyczne" w kinie Colloseum, ryzykownie nazwane rewją „dzierżawi" znakomita artystka scen polskich *p. Lena Okszańska* (?) wraz ze swym małżonkiem, równie znakomitym producentem filmowym o ludowem nazwisku *Łowicz* (czytaj: *Fajwlowicz).*

Pani Lena Okszańska - Łowicz - Fajwlowiczowa jest srogą chlebodawczynią, bowiem chociaż zezwoliła siódemce występujących na deskach Colloseum tancereczek na „gościnny występ" w Domu Żołnierza na Pradze, podczas imienin Prezydenta Rzplitej, to przecież, gdy dziewczyny, nie ze swej winy zresztą, spóźniły się następnie na przedstawienie w „rewji" chlebodawczyni nie cofnęła się przed radykalnem załatwieniem kwestji.

Przedewszystkiem wygłosiła ona do zastrachanej siódemki treściwy i jędrny „spicz", następnie osobiście powyrzucała różne szmatki i szminki tancereczek z garderoby, a wreszcie kazała dziewczętom *wynosić się na „zbity łeb"*.

Rozumiemy, że wielkie talenty od czasu do czasu muszą „wyładować się", ale czy koniecznie w ten sposób, urocza Pani? Czy naprawdę ten karygodny występ dla żołnierzy w dniu imienin Pierwszego Polaka, tak bardzo poderwał interesy rewji Colloseum, *że aż trzeba było wyrzucać biedne dziewczyny, „zapominając" im zapłacić za dwa dni ciężkiej pracy należne gaże?*...

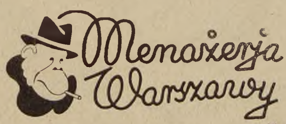
✶

Co i raz rozlega się dzwonek alarmowy zwracający uwagę nasza na przysłowiową już inteligencję polskich „dziennikarzy" filmowych i „speców" propagandowych.

Oto nowy kwiatuszek. W jednym z prawdziwych „organów" branżowych, redagowanym przez p. Jesiotra (nr. z datą 31 stycznia 1936) w ogłoszeniu zapowiadającem film z doskonałym zresztą aktorem żydowskim Satzem, czytamy:

„Znakomity balet i słynny chór Wielkiej Synagogi w New Yorku:..".

Chór możemy darować p. Jesiotrowi i autorowi tego ogłoszenia, ale synagogalny balecik przyjąłby chętnie nawet antysemicka „Warta".



Nie sposób odgadnąć w jakiej skórze najbardziej mu jest do twarzy? Czy jako malarz — niemalujący, czy lotnik — nielatający, czy wreszcie artysta — bez talentu, ale zato z ormiańskim nosem. Jest tak bardzo zakłamany, że sam nie wie czy lepiej być — kobietą, kiedy przebywa z reżyserem filmowym, czy — reżyserem filmowym kiedy pod ręką jest kobieta.

Nawet przystojny, znakomicie nadawałby się na urzędnika do specjalnych poruczeń zarówno szefa, jak szefowej, cóż, kiedy ostatecznie tkwi przy zawodzie aktorskim. Na klatce wywiesimy napis: kameleon

✶

Jako akwizytor wielkie firmy przędzalniczej, grasujący na terenie dostaw wojskowych, uchodzi za genjalnego. Wyrzucony drzwiami, wchodzi za chwilę przez okno. Tu jednak kończy się jego talent i jedyny walor. Jest pozatem chorobliwie skąpy, beznadziejnie nieciekawy i jak większość dorobkiewiczów choruje na... przyjaciółkę z baletu. Cierpi, bo to kosztuje, ale czego nie robi się dla sztuki... W menażerji mógłby być reprezentacyjnym okazem barana - merynosa z bardzo okazałemi rogami.

FRASZKI

PO WYROKU W SPRAWIE SEN. SIEROSZEWSKIEGO

Morał stąd, że źle poprostu
Rąbać prawdę prosto z mostu.

NA T.K.K.T.

Miernoty w miernych sztukach i mierna frekwencja —
Ach kiedyż wreszcie skończy się już ta Kaden - cja?

PO ATAKU PRASY ŻYDOWSKIEJ NA HEMARA.

Że na Gwiazdkę się Hemar reklamował śmiele —
To co jest, co? Na Purym on będzie — Hescheles.

O DYSKUSJI BUDŻETOWEJ

Słuchają, biadają, głowami kiwają,
Zgłaszają, cofają, wstają, uchwalają.

NA NOWE PROGRAMY RADJOWE.

Kiedy program wypełnia tylko propaganda —
Brać za to po 3 złote na miesiąc — to granda!

NA WIECZNEGO OPOZYCJONISTĘ

I jakiż skutek z pańskiej wiernej opozycji?
Robota dla cenzury — orka dla policji

O „GAZECIE POLSKIEJ".

Dodatek literacki grupy pułkowników
Do codziennej tabeli związku komorników.

NA FIASCO AKCJI ANTYETATYSTYCZNEJ.

Gdyby ją przeprowadzić solidnie i śmiało
Coby wówczas z filarów sanacji zostało?

O. Set.

Kiedy szczęście sprzyja?

Do wszystkiego potrzeba mieć trochę szczęścia. Tak wszyscy zwykle wzdychamy ale nie wszyscy zastanawiamy się nad właściwem znaczeniem tych słów. Trochę szczęścia — to nie znaczy, by pieczone gołąbki same wpadały do gąbki. Rzecz trzeba należycie przygotować, opracować i, z wiarą i ufnością w swoje szczęście, iść naprzód. Wtedy szczęście sprzyja.

Gdy komuś się uda, mówimy: ma szczęście. Ale czy zastanawiamy się nad tem, że on to szczęście sobie sam przygotował? Jeżeli wygrał na Loterji Państwowej, czyż nie musiał sobie wygraną przygotować przez nabycie losu? Przecież dotychczas jeszcze nikt nie wygrał, kto losu nie miał.

Otóż wygraną na Loterji może sobie każdy łatwo przygotować, kto tego naprawdę chce. Wystarczy pójść do kolektury i zaopatrzyć się w los. Gdy to zrobi, ma już wszelkie szanse wygrania.

Ciągnienie I-szej klasy 35-ej Loterji rozpoczyna się 20 lutego i trwa 4 dni.

Wspólny język

...Gdy sowiecki torgpred, (przedstawiciel handlowy), p. Anton Moisiewicz (syn Mojżesza), Tamarin. wybierał z wizyty powitalną do ówczesnego ministra handlu i przemysłu — Rajchmana—ogólne zaciekawienie budziło, w jakiem języku toczyć się będzie rozmowa.

Wiadomo bowiem było, że minister nie rozumie po rosyjsku, a torgpred po polsku.

— Bądzcie państwo spokojni — odezwał się pewien z wyższych urzędników M. S. Z., znany z ciętego języka — zrozumieją się doskonale i dogadaio napewno!—

— Ale po jakiemu? — posypują się pytania.

— Po... sefaryńsku — odparł spokojnie dygnitarz.

Uczta dla miłośników tańca

Można stwierdzić bez przesady, że na parkietach stolicy nie widzieliśmy jeszcze tańca na takim poziomie artystycznym, jak produkcje duetu Demousie et Schulatoff, występującego w obecnym programie Dancingu Café Club. Na ich taniec, pełen wdzięku i elegancji, wykonywany ze wspaniałą techniką i muzykalnością, chciałoby się patrzeć całe godziny. Przebojowym numerem tej pierwszorzędnej pary tancerzy jest „Bolero", które otworzyło im drogę do najlepszych lokali rozrywkowych Europy. Obok tego świetnego duetu w lutowym programie występuje znana już publiczności „Café Club" żywiołowa tancerka węgierska Jeanne Lee, a Lopek Krukowski nadaje nową audycję radjową, przerywaną wybuchami niepohamowanego śmiechu publiczności.

N.

Dokąd warto, dokąd nie...

Teatr --- Rewja --- Kino

„Niedobra miłość“ (Narodowy). Ponure i mętne sztuczydło. Gdyby je napisał Beylin czy German - Słonimski używałby no nich ile wlezie, ale... że akademiczka, że nagroda państwowa... więc nieliczni łatwowierni widzowie męczą się pospołu z Gorczyńską i Romanówną, zamiast siedzieć na dobrym filmie, lub w domu przy radju. Kartkę można przyjąć pod warunkiem, że ofiarodawca dołoży 50 gr. na stróża.

✱

„Niewierny Tomek“ (Reduta). — Przyjemne, acz słabiutkie przedstawienie. Ładna Brochwiczówna. nadspodziewanie dobry Bogucki, miły Żabczyński. Całość zasługuje na obejrzenie jeśli cena biletu nie przekracza 5 zł. pop.

✱

„Arcylokaj“ (Kino „Rialto“).

Pomimo podejrzanych zachwytów różnych „asów“ literatury, jak Antoni Słonimski i inni, stwierdzamy kategorycznie, że jest to film tylko średniej miary. Gdyby urządzono plebiscyt na najlepsze filmy roku wśród publiczności europejskiej, bardziej kulturalnej od amerykańskiej, „Arcylokaj“ z pewnością nie przeszedłby do dziesiątki najlepszych.

Główną wadą filmu jest nazbyt mętne postawienie psychologji tytułowej bohatera, którego do końca przedstawienia nie potrafimy „rozgryźć“. Niektóre sceny natomiast zrealizowane są brawurowo. W kilku miejscach szwankuje nieco tempo filmu, obciążonego niepotrzebnemi „wstawkami pseudofilozoficznemi. W każdym razie warto „Arcylokaja“ zobaczyć za cenę ulgowego biletu. Zespół aktorski jest doskonały i w niczem nie ustępuje czołowemu bohaterowi Lagthonowi.

✱

„Katarzynka“ (Kino „Stylowy“).

„Katarzynka“ posiada dwie kolosalne zalety. Po pierwsze — niezwykłą oprawę muzyczną Brodzkiego, który tym razem dał z siebie najlepsze, a po drugie — gra Franciszki Gaal, która dopiero w tym filmie wyszła z utartego i nazbyt symplicystycznego szablonu, aby odegrać swoją rolę naprawdę, jak aktorka, świadoma swego talentu. Niektóre sceny w jej interpretacji wypadły szczerze wzruszająco.

Amatorów dobrej muzyki czeka szereg niespodzianek. Usłyszą uwerturę, po mistrzowsku odegraną przez orkiestrę wiedeńskiej, opery oraz kilka przebojowych piosenek w wykonaniu niezrównanego kwartetu męskiego, wobec którego nasz rodzimy chór Dana jest „Baby Le Roy“, oraz świetnego duetu damskiego. Do wad filmu należą: wiektóre fragmenty scenarjusza oraz twarz amanta.

„Osaczona“ (Kino Światowid“).

„Osaczona“ nie jest filmem złym, ale równocześnie nie jest arcydziełem Jak na obraz psychologiczny, charaktery osób działających są zbyt mało pogłębione, a jak na film „gangsterski“, za mało w nim temperamentu. Winę ponosi w tym wypadku scenarzysta, bo treść filmu jest conajmniej... niemądra. Uratował sytuację reżyser William K. Howard, który wydobył z niewdzięcznego tematu maximum wrażeń. Syvia Sidney, jak zwykle, bardzo dobra. Jej partner Melryn Douglas gra bardzo inteligentnie. Reszta zespołu na kiepskiej średnicy. Scena pościgu — świetna. Kto lubi mocne wrażenia i Sylvię Sidney może kupić pół biletu, inni niechaj *pójdą do kawiarni.* X :7.

Jadzia Andrzejewska



Fot. Brzozowski

Najkapitalniejsza artystka młodego pokolenia pierwszorzędnie odtworzyła rolę Katarzyny Wagner w sztuce Fodora „Matura“ granej z wielkiem powodzeniem w Teatrze Kameralnym

W OPERZE

Obecny sezon operowy przechodzi pod znakiem bezustannych nowości, wymownie świadczących o tem, że dyr. Janina Korolewicz - Waydowa, mimo osiągniętych dotychczas sukcesów, pragnie za wszelką cenę wyprowadzić Operę warszawską na wyżyny szczerego artyzmu.

Już sezon ubiegły był widomym dowodem sprawnej dyrekcji, która szczęśliwie potrafiła znaleźć i utrzymać się na właściwej linji repertuarowej, dzięki czemu Opera, dotychczas Kopciuszek, wróciła do wspaniałych tradycyj minionych lat, przeobrażając się w jeden z najpopularniejszych, jeśli idzie o frekwencję, teatrów stolicy.

Sezon 1935-36 rozpoczął się pod znakiem kontynuowania linji przewodniej dyr. Janiny Korolewicz - Waydowej i znów szczelnie wypełniona widownia, nieomal stale wyświetlany nad kasami napis: „wszystkie bilety sprzedane“ wskazywały na to, że Opera warszawska jest jedynym z nielicznych w tej chwili teatrów, który kapryśna publiczność warszawska darzy pełnem zaufaniem i szczerą sympatją.

Po wystawieniu w tygodniu ub „Goplany“ Żeleńskiego, o której znany krytyk muzyczny Jan Maklakiewicz tak pisał: **„Goplanę“ powinna usłyszeć i zobaczyć przedewszystkiem młodzież, która w dzisiejszych czasach ma tak mało tego rodzaju wzruszeń artystycznych. Opera Żeleńskiego nie roztkliwia, ale właśnie wzrusza, wstrząsa do głębi i potrąca najszlachetniejsze struny duszy ludzkiej.“**, dyr. Janina Korolewicz-Waydowa zapowiada na koniec b. miesiąca operę Paderewskiego „Manrou“, a także dwie dalsze opery polskie „Flis“ i „Verbum Nobile“ w znakomitej obsadzie śpiewaczej i całkowicie nowej inscenizacji.

Niewątpliwie w dużym stopniu przyczyni się do wyciągnięcia maksimum walorów artystycznych, nowy reżyser zaangażowany przez Operę warszawską, doskonały śpiewak Zygmunt Zalewski.

Poza powyższemi operami, dyr Janina Korolewicz - Waydowa pragnąc utrzymać na pierwszym planie najbardziej wartościowy repertuar polski, postanowiła wystawić już w najbliższej przyszłości dwa piękne balety „Na postoju“ i... tak dawno już niewidzianego „Pana Twardowskiego“. K.

✱

W odpowiedzi na liczne zapytania naszych Czytelników w sprawie Nr. 2 Wiem Wszystko komunikujemy, że już w niedziele 2-go b. m. nakład Nr. 2 był prawie całkowicie wyczerpany, a pojedyńcze egzemplarze można było nabyć jedynie w bardziej oddalonych punktach sprzedaży gazet.

W związku z tem, nakład niniejszego numeru (3) zwiększamy dwukrotnie, zaznaczając, iż w prenumeracie tygodnik nasz jest dostarczany do domów już w czwartek wieczorem.

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9.— **OGŁOSZENIA**: za wiersz wysokości mm., szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr., nadesłane zł., komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Królewska Nr. 35 m. 20, tel. 6.33-65 czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 11-ej do 13-ej.

Konto w P. K. O. Nr. 15.581

Redaktor odp. i wydawca: JAN KRUKOWSKI

Drukarnia „NIWA“ — Warszawa, ul. Złota 16, tel. 6-17-84